

TRZY
KROKI
OD SIEBIE

TRZY KROKI OD SIEBIE

RACHAEL LIPPINCOTT
oraz MIKKI DAUGHTRY
i TOBIAS IACONIS

Tłumaczył Maciej Potulny

Media Rodzina

Tytuł oryginału *Five Feet Apart*
by Rachael Lippincott with Mikki Daughtry & Tobias Iaconis
Text copyright © 2018 by CBS Films Division

Published by arrangement with Simon & Schuster Books for Young Readers,
an imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

Copyright © 2019 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Cover illustration copyright © 2019 CBS Films Inc. All rights reserved
Polska wersja okładki Andrzej Komendziński

Book design by Lizzy Bromley

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach
krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Ta książka jest dziełem fikcyjnym.

Wszelkie podobieństwo do zdarzeń historycznych, prawdziwych miejsc
i osób — żyjących lub zmarłych — jest zupełnie przypadkowe i niezamierzone.

ISBN 978-83-8008-616-6

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 60
mediarodzina@mediarodzina.pl

Skład i łamanie

Scriptor s.c.

Druk
Abedik

Dla Alyson

R.L.

*Dedykujemy tę książkę oraz film wszystkim pacjentom,
rodzinom, personelowi medycznemu i ukochanym osobom,
które toczą codzienną bohaterską walkę z mukowiscydozą.*

*Mamy nadzieję, że opowieść o Stelli i Willu pomoże
upowszechnić wiedzę o tej chorobie
oraz pewnego dnia znaleźć na nią lekarstwo.*

M.D. i T.I.

ROZDZIAŁ 1

STELLA

Wodzę palcem wzdłuż konturów rysunku wykonanego przez moją siostrę — płuc utworzonych z morza kwiatów. Z bliźniaczych, owalnych kształtów wyrasta mnóstwo płatków w odcieniach pastelowego różu, czystej bieli, a nawet wrzosowych błękitów, ale w jakiś niepojęty sposób każdy z nich zdaje się wyjątkowy, wyróżnia go świeżość dająca złudzenie, że kwiaty będą kwitły wiecznie. Niektóre jeszcze nie rozkwitły, a jednak wyraźnie daje się odczuć obietnicę życia niecierpliwie czekającego, by wyzwolić się z drobnych pączków pod opuszkami moich palców. Te lubię najbardziej.

Zastanawiam się — zdecydowanie zbyt często — jak by to było mieć takie zdrowe płuca. Czuć się tak pełna życia. Wdycham powietrze, a ono mozolnie przeciska się do mojego ciała, by po chwili z nie mniejszym trudem je opuścić.

Moja dłoń ześlizguje się z ostatniego płatka ostatniego kwiatu, palce przesuwają się po rozgwieżdżonym tle. Każda narysowana przez Abby plamka światła jest jej próbą uwiecznienia nieskończoności. Odkasuję, cofam dłoń i pochylam się, żeby sięgnąć po leżącą na łóżku naszą wspólną fotografię. Identyczne uśmiechy nad grubymi wełnianymi szalami, a nad naszymi głowami świąteczne lampki w parku przy końcu ulicy, które migoczą niczym gwiazdy z rysunku Abby.

Była w tym jakaś magia — w bladym świetle parkowych latarni, w białym śniegu oblepiającym gałęzie, w trwającym dokoła cichym bezruchu. W ubiegłym roku niemal odmroziłyśmy sobie tyłki z powodu tego zdjęcia, ale to była nasza tradycja. Znosiłyśmy najgorszy mróz, byle tylko móc razem podziwiać gwiazdkową iluminację.

Ta fotografia zawsze przypomina mi tamto wrażenie. Poczucie, że ruszamy z siostrą ku przygodzie, tylko we dwie, a świat otwiera się przed nami niczym księga.

Biorę pinezkę i wiem zdjęcie koło rysunku, a potem siadam na łóżku z zeszytem i ołówkiem wyciągniętymi z szuflady szafki nocnej. Przebiegam wzrokiem długą listę, którą spisałam rano: od punktu 1: Opracować listę rzeczy do zrobienia — który już z pełną satysfakcją przekreśliłam, aż do punktu 22: Zastanowić się, co nas czeka po śmierci.

Punkt 22 może się okazać zbyt ambitny na piątkowy wieczór, ale przynajmniej mogę już odhaczyć numer 17:

Ozdobić ściany. Rozglądam się po spartańskim wnętrzu, które przez większą część przedpołudnia znowu próbowałam urządzić po swojemu. Powiesiłam na ścianach obrazki, które od wielu lat dostaję od Abby — plamy koloru i okruchy życia wyraźnie odcinające się od klinicznej bieli ścian. Każdy z nich wiąże się z innym z moich pobytów w szpitalu.

Jeden przedstawia mnie z kroplówką, w której kłębią się motyle we wszystkich kolorach i rozmiarach. Na innym jestem narysowana z wąsami tlenowymi w nosie, z rurką ułożoną w kształt symbolu nieskończoności. Na jeszcze jednym korzystam z inhalatora, a unosząca się z niego mgiełka tworzy aureolę wokół mojej głowy. Jest też najsubtelniejszy rysunek ze wszystkich — wyblakłe tornado z gwiazd, które Abby narysowała za pierwszym razem, kiedy tu trafiłam.

Ten nie jest tak dopracowany jak jej późniejsze dzieła, ale właśnie dlatego tym bardziej go lubię.

Poniżej, pod tą feerią kolorów znajduje się... ster-
ta przyrządów medycznych, piętrząca się koło obitego okropnym zielonkawym skajem szpitalnego krzesła, jednego z mebli stanowiących standardowe wyposażenie każdej sali w szpitalu St. Grace's. Patrzą w milczeniu na pusty stojak kroplówki, wiedząc, że dokładnie za godzinę i dziewięć minut czeka mnie pierwsza z wielu dawek antybiotyków, które będę przyjmować przez następny miesiąc. Taka już ze mnie szczęściara.

— To tutaj! — dobiega głos zza drzwi.

Drzwi uchylają się, skrzypiąc cicho, a ja unoszę głowę w samą porę, by zobaczyć w wąskiej szczelinie dwie znajome twarze. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Camila i Mya odwiedziły mnie tutaj z milion razy, a mimo to wciąż nie są w stanie pokonać trasy z recepcji do mojej sali bez pytania każdej napotkanej osoby o drogę.

— Znowu pudło — mówię z uśmiechem.

Widzę, że od razu ogarnia je uczucie czystej, nieskażonej wątpliwościami ulgi. Mya śmieje się i otwiera drzwi szerzej.

— Szczerze? Wcale bym się nie zdziwiła. Ten szpital to jakiś porąbany labirynt.

— I jak tam wasze nastroje? Pewnie już nie możecie się doczekać — mówię, podbiegając, żeby je uściskać.

Camila cofa się o krok i patrzy na mnie z żalną miną, a burza jej kręconych czarnych włosów dosłownie sprawia wrażenie, jakby też nagle oklapła.

— To już druga z kolei wycieczka bez ciebie.

Święta prawda. Nie po raz pierwszy z powodu mukowiscydozy omija mnie klasowa wycieczka, wyjazd na słoneczne wakacje albo szkolna impreza. Mniej więcej siedemdziesiąt procent czasu moje życie wygląda zupełnie normalnie. Chodzę do szkoły, spotykam się na mieście z Camilą i Myą, tworzę swoją apkę na telefon. Tyle tylko, że robię to wszystko pomimo niewydolnych płuc. Pozostałe trzydzieści procent mojego życia to czas, kiedy kontrolę przejmuje choroba.

Mam na myśli, że kiedy muszę iść do szpitala na podregulowanie zaworków, przechodzą mi koło nosa takie atrakcje, jak Weekend Ziomalek w Teksasie czy — tak jak teraz — wycieczka najstarszego rocznika naszej szkoły na Cabo.

Tym razem podkręcanie zaworków ma polegać na nafaszerowaniu mnie antybiotykami, żeby w końcu wyleczyć infekcję gardła i gorączkę, która nie chce sama spaść.

Poza tym ostatnio pogorszył się stan moich płuc.

Mya siada na łóżku, a potem kładzie się, wzdychając dramatycznie.

— Wyjeżdżamy tylko na cztery dni, Stella. Na pewno nie możesz jechać? To już ostatnia wycieczka w tej szkole!

— Na pewno. Nie mogę — mówię stanowczo, a one wiedzą, że nie żartuję.

Przyjaźnimy się od końca podstawówki i do tej pory już się nauczyły, że gdy chodzi o moje plany, to mukowiscydoza ma ostateczny głos.

To nie tak, że nie chce mi się jechać. Sprawa całkiem dosłownie dotyczy życia i śmierci. Nie mogę ot tak sobie ruszyć na Cabo — ani zresztą nigdzie indziej — i ryzykować, że już stamtąd nie wrócę. Nie mogłabym tego zrobić rodzicom. Nie teraz.

— No ale w tym roku byłeś przewodniczącą komitetu organizacyjnego! Nie możesz im powiedzieć, żeby

przesunęli termin? Nie chcemy, żebyś tu tkwiła sama jak palec — mówi Camila, wskazując ręką szpitalny pokój, który tak starannie urządziłam.

Potrząsam głową.

— Mamy jeszcze przed sobą przerwę wiosenną! Na pewno pamiętacie, że nie opuściłam żadnej wiosennej wycieczki od ósmej klasy, kiedy złapałam przeziębienie! — pocieszam, uśmiechając się z nadzieją i zerkając to na jedną z przyjaciółek, to na drugą.

Żadna z nich jednak nie odwzajemnia mojego uśmiechu. Obie patrzą na mnie tak, jakbym zabiła ich ukochane zwierzątka.

Widzę, że mają przy sobie torby ze strojami kąpielowymi, które kazałam im przynieść, więc podejmując desperacką próbę zmiany tematu, wyciągam rękę po pakupek Camili.

— Oho, kostiumy kąpielowe! Musimy wybrać najlepsze!

Sama nie mogę się wylegiwać w ciepłym słońcu Cabo w wybranym przez siebie stroju, więc przynajmniej należy mi się udział w tych przyjemnościach za pośrednictwem przyjaciółek, którym wybiorę kostiumy.

Ten pomysł je ożywia. Radośnie wysypujemy zawartość obu toreb na łóżko, tworząc na nim miszmasz motywów kwiatowych, kropek i fluorescencyjnych barw.

Pobieżnie przeglądám stertę kostiumów Camili. Wybieram z niej czerwone figi, które można by nazwać czymś między majtkami od bikini a pojedynczym cien-

kim sznurkiem. Nie mam cienia wątpliwości, że odziedziczyła je po starszej siostrze, Megan.

Rzucam je Camili.

— O, to. Cała ty.

Camila robi oczy okrągłe ze zdziwienia. Przykłada sobie majtki do bioder i zaskoczona poprawia okulary w drucianych oprawkach.

— No, to znaczy... wąskie paski od opalania się w stringach mogłyby całkiem dobrze wyglądać na ciele...

— Camila! — przerywam jej, sięgając po bikini w biało-granatowe pasy. Już na pierwszy rzut oka widzę, że będzie pasowało jak ulał. — Żartowałam. Ten jest idealny.

Kiedy Camila bierze ode mnie bikini, wygląda na to, że kamień spadł jej z serca. Odwracam się do Myi, siedzącej w kącie na zielonym szpitalnym krześle, ale ona jest zajęta wysyłaniem z szerokim uśmiechem SMS-ów.

Wykopuję ze sterty jednoczęściowy kostium, który Mya nosiła jeszcze w szóstej klasie podczas lekcji pływania. Unoszę go i pytam z szelmowskim uśmiechem:

— Co powiesz na ten, Mya?

— Super! Świetny wybór! — odpowiada, wciąż zawięzcie stukając w klawiaturę telefonu.

Camila prycha rozbawiona. Wpycha swój kostium z powrotem do torby i posyła mi porozumiewawczy uśmiech.

— Mason i Brooke się rozeszli — wyjaśnia.

— O Boże. Niemożliwe! — odpowiadam.

To dopiero sensacja. Ale czad!

No, może nie dla Brooke. Ale Mya podkochuje się w Masonie, odkąd w drugiej klasie zaczęła chodzić na zajęcia z angielskiego do pani Wilson, więc ta wycieczka jest dla niej wielką szansą na wykonanie przełomowego kroku.

Ale szkoda, że nie będzie mnie tam podczas tego weekendu, żeby pomóc jej wdroić sprawny, dziesięciopunktowy plan pod kryptonimem: „Gorący romans z Masonem na Cabo”.

Mya odkłada telefon i niby nic wzrusza ramionami, a potem wstaje i z nagłym zainteresowaniem ogląda obrazki na ścianach.

— To nic takiego. Umówiłam się, że rano spotkamy się z nim i Taylorem na lotnisku.

Patrzę na nią znacząco i nagle na jej twarzy pojawia się promienny uśmiech.

— No dobra, to jednak coś wielkiego!

Wszystkie trzy piszczymy podekscytowane, a ja wybieram dla Myi śliczny jednoczęściowy kostium w kropki, który przywodzi na myśl minioną epokę i jest jakby stworzony dla niej. Mya kiwa głową, bierze strój i przykłada go do ciała.

— Byłam prawie pewna, że wybierzesz właśnie ten.

Zwracam się do Camili, która zerka nerwowo na zegarek, co mnie wcale nie dziwi. Jest mistrzynią odkładania spraw na później i zapewne jeszcze nie spakowała ani jednej rzeczy na wyjazd.

Oczywiście oprócz bikini.

Camila widzi, że przyłapałam ją na gorącym uczynku, więc uśmiecha się przepraszająco.

— Muszę jeszcze kupić na jutro ręcznik plażowy.

Klasyk. Cała Camila.

Wstaję z ciężkim sercem, bo smutno mi, że już wychodzą, ale nie chcę ich zatrzymywać.

— No dobrze, zrywajcie się! Jutro skoro świt musicie zasuwać na samolot.

Mya żałośnie rozgląda się po pokoju, a Camila z przygnębieniem mnie w rękach torbę ze strojami kąpielowymi. Robią więcej ceregieli, niż mogłam się po nich spodziewać. Tłumię w sobie poczucie winy i irytację, która coraz silniej daje o sobie znać. Bądź co bądź to nie one opuszczą ostatnią klasową wycieczkę na Cabo. Przynajmniej spędzą ten czas w swoim towarzystwie.

Cała w uśmiechach niemal ciągnę je w kierunku drzwi. Bołą mnie policzki od udawania pozytywnego nastawienia, ale nie chcę dziewczynom psuć humoru.

— Przyślemy ci zdjęcia, okej? — obiecuje Camila, obejmując mnie.

— No myślę! Wklej mnie w Photoshopie na kilku z nich — mówię do Myi, która umie wyczarować prawdziwe cuda z programów Adobe. — Nikt się nawet nie zorientuje, że mnie tam nie było.

Obie jeszcze marudzą w drzwiach, więc w egzaltowany sposób przewracam oczami i przekornie wypycham przyjaciółki na korytarz.